Z bajek, które nam opowiadali rodzice, my, małe Chinki, dowiadywałyśmy się, że popełniamy błąd wyrastając na pospolite żony i niewolnice, a nie na bohaterki i wojowniczki. Kobieta-wojownik potrafiła dosięgnąć każdego, kto skrzywdził jej rodzinę, nawet jeśli musiała w tym celu gnać niczym burza przez całe Chiny. Może kobietom zaczęto bandażować stopy właśnie dlatego, że były kiedyś takie groźne. To kobieta opracowała styl walki „biały żuraw", i to zaledwie dwieście lat temu. Owa córka mistrza, kształconego w Siao-lin, świątyni zakonu mnichów walczących, była już wówczas doświadczoną zawodniczką w walce na kije. Pewnego dnia, kiedy czesała włosy, ujrzała białego żurawia, który przyfrunął tuż pod jej okno. Dla zabawy chciała dźgnąć go żerdzią, lecz ptak odepchnął kij na bok jednym miękkim muśnięciem skrzydła. Zdumiona tym dziewczyna wybiegła na dwór i próbowała strącić żurawia kijem z grzędy, na której siedział. Ptak przełamał żerdź na pół. Dziewczyna poznała wówczas, że ma do czynienia z potężną siłą, i zapytała ducha białego żurawia, czy nauczy ją walczyć. Odpowiedział okrzykiem, który do dziś naśladują bokserzy stosujący styl białego żurawia. Ptak wrócił później pod postacią starca i przez wiele lat uczył dziewczynę boksu. Dzięki temu mogła ofiarować światu nową odmianę sztuki walki.

To była jedna z najmniej dramatycznych, najbardziej uwspółcześnionych historii — zaledwie wstęp do legend. Moja matka opowiadała ich wiele, latami tropiąc wojowniczki po lasach i pałacach. Co wieczór opowiadała nam bajki, dopóki nie zasnęłyśmy. Nigdy nie wiedziałam, gdzie kończy się bajka, a zaczyna sen: głos matki był głosem bohaterek moich snów. W niedziele zaś, od południa do północy, oglądałyśmy filmy w

Kościele Konfucjusza. W filmach tych wojowniczki bez rozbiegu przeskakiwały ponad dachami domów.

W końcu i ja poznałam, że mam do czynienia z potężną siłą: były nią opowieści mojej matki. Niedawno usłyszałam gdzieś balladę o Fa Mu Lan — dziewczynie, która zastąpiła swojego ojca na placu boju. Natychmiast przypomniało mi się, jak w dzieciństwie dreptałam po domu za matką i jak we dwie śpiewałyśmy o Fa Mu Lan, która okryła się w boju wielką chwałą, a potem, cała i zdrowa, wróciła do rodzinnej wioski i zamieszkała w rodzinnym domu. Jak mogłam na tyle lat zapomnieć o tej balladzie, niegdyś tak bardzo mojej, ofiarowanej mi przez matkę, która mogła nawet nie znać jej mocy przywracania wspomnień. Matka stale mi powtarzała, że wyrosnę na żonę i niewolnicę, ale uczyła mnie pieśni kobiety-wojownika, Fa Mu Lan. Wiedziałam, że muszę wyrosnąć na kobietę-wojownika.

Wiedziałam też, że wezwanie przyniesie mi ptak przelatujący ponad naszym domem. Na sztychach ptak ten przypomina ideogram „człowiek": rozpostarte czarne skrzydła. Ptak miał przefrunąć na tle słońca i oddalić się w góry — które z wyglądu przypominają ideogram „góra" — na moment tylko rozwierając zasłonę mgły, która zaraz zewrze się i zmętnieje na nowo. Wiedziałam, że w dniu, w którym podążę w góry za ptakiem, będę miała siedem lat. Płożące się, kolczaste krzewy podrą mi buty, skały pokaleczą moje stopy, ale ja będę wspinała się coraz wyżej i wyżej, wypatrując na niebie mojego ptaka. Wespniemy się tam, gdzie roślinność jest całkiem inna niż w dolinach i gdzie rzeka, która płynie przez naszą wieś, ma postać wodospadu. Na tej wysokości, gdzie stracę ptaka z oczu, chmury zaciągną cały świat szarą barwą rozmytego tuszu.

Nawet gdy już przywyknę do szarości, będę widziała szczyty gór jak naszkicowane ołówkiem, skały na zboczach jako rozmazane plamy węgla, a wszystko razem jako obraz niezmiernie ponury. Pozostaną tylko dwie złączone kreski: mój ptak. We wnętrzu chmur — w kłębie oddechu smoka — stracę rachubę godzin i dni. A potem nagle, bezszelestnie, wyjdę na żółty, ciepły świat. Pochylą się ku mnie nowe drzewa, rosnące na zboczach gór — ale kiedy spróbuję odszukać wzrokiem wieś, nie dojrzę jej, ukrytej pod chmurami.

Mój ptak, tak teraz bliski słońca, że aż złoty, przysiądzie odpocząć na skraju strzechy kryjącej chatę, która aż do chwili,

gdy jej dotkną dwie ptasie łapki, będzie bardzo zręcznie udawała część góry.

Otworzyły się drzwi i z domu wyszli staruszek i staruszka, niosący miski ryżu i zupy oraz liściastą gałąź obwieszoną owocami brzoskwini.

— Czy jadłaś już dzisiaj ryż, dziewczynko? — zapytali na powitanie.

— Tak, jadłam — odparłam przez grzeczność. — Dziękuję. („Nic nie jadłam!", odpowiedziałabym na jawie, wściekła na Chińczyków, którzy bez przerwy kłamią. „Umieram z głodu. Macie może ciasteczka? Najbardziej lubię kruche z czekoladą.")

— Właśnie zasiadamy do posiłku — powiedziała staruszka. — Zjesz z nami?

Zobaczyłam, że niosą na drewniany stół pod sosnami trzy miski ryżu i trzy pary srebrnych pałeczek. Poczęstowali mnie jajkiem, jakby to były moje urodziny, i herbatą; chociaż byli starsi ode mnie — ale ja im nalewałam. Imbryk i miska z ryżem zdawały się nie mieć dna — a może tylko tak mi się zdawało, bo para staruszków jadła głównie brzoskwinie.

Kiedy góry i sosny przemieniły się w niebieskie woły, niebieskie psy i wyprostowane niebieskie figury, gospodarze zaproponowali mi nocleg w swojej chacie. Wyobraziłam sobie długą drogę w dół do wsi w upiornych ciemnościach i postanowiłam przyjąć zaproszenie. Wnętrze chaty wydało mi się równie wielkie jak świat na zewnątrz. Podłogę zaścielały igły sosnowe, usypane w gęsty wzór: ktoś zadał sobie trud ułożenia żółtych, zielonych i brązowych igieł według wieku. Stąpnęłam nieostrożnie i naruszyłam deseń, wzniecając fontannę kolorów ziemi. Staruszek i staruszka stąpali tak lekko, że ich stopy nie przemieściły ani igiełki.

Pośrodku domu wyrastał głaz, i to był ich stół. Rolę ław pełniły obalone drzewa. Jedną ze ścian, będącą w istocie ścianą góry, porastały paprocie i cieniolubne kwiatki. Staruszkowie ułożyli mnie w łóżku, które miało dokładnie szerokość mojego ciała.

— Oddychaj równo, bo stracisz równowagę i spadniesz na ziemię — ostrzegła mnie staruszka, okrywając jedwabnym workiem, wypchanym pierzem i ziołami. — W takich łóżkach

jak to sypiają śpiewaczki operowe, które uczą się swojej sztuki od piątego roku życia.

Potem staruszek i staruszka wyszli na dwór. Widziałam przez okno, jak ciągną koniec liny przerzuconej przez konar. Drugi koniec był przytwierdzony do dachu, dach zaś otwierał się jak pokrywa kosza. Miałam spać pod księżycem i gwiazdami. Zasnęłam tak szybko, że nawet nie wiem, czy staruszkowie kładli się tej nocy. Rano obudzili mnie, przynosząc śniadanie.

— Dziewczynko, spędziłaś z nami prawie cały dzień i całą noc — powiedziała staruszka. W świetle poranka zauważyłam, że nosi w uszach złote kolczyki. — Czy wytrzymałabyś jeszcze piętnaście lat? Możemy cię wyuczyć na wojownika.

— A moi rodzice? — zapytałam.

Staruszek rozwiązał bukłak na wodę, który zawsze nosił przerzucony przez plecy. Uniósł pokrywkę za kołek i zajrzał do wnętrza.

— Widzę ich — powiedział.

Ja sama zobaczyłam w pierwszej chwili tylko wodę, tak czystą, że włókna ścianek bukłaka odbijały się w niej w powiększeniu. Na powierzchni widniało okrągłe odbicie mojej własnej twarzy. Staruszek objął szyjkę bukłaka kciukiem i palcem wskazującym i potrząsnął z całej siły. Gdy zmącona woda ustała się na nowo, barwy i blaski złączyły się w czytelny obraz, nie będący jednak odbiciem niczego, co widziałam wokół siebie. Na dnie bukłaka stali moi rodzice, błądząc oczami po niebie, gdzie właśnie przebywałam ja sama.

— A więc stało się — dobiegł mnie głos matki — nie przypuszczałam, że to się stanie tak prędko.

— Od chwili jej narodzin wiedziałaś, że zostanie zabrana — powiedział ojciec.

— Trudno, będziemy musieli w tym roku zebrać ziemniaki bez jej pomocy — rzekła matka, po czym oboje ruszyli w pole, unosząc w ramionach słomiane kosze. Woda zmąciła się i z powrotem była tylko wodą.

— Mamo! Tato! — zawołałam za nimi, ale byli już w dolinie i nie usłyszeli mnie.

— Co wolisz? — zapytał mnie staruszek. — Możesz tam zaraz wrócić, jeśli chcesz. Możesz iść i wyciągać z ziemi słodkie

kartofle albo zostać tu z nami i uczyć się walczyć z barbarzyńcami i bandytami.

— Będziesz mogła pomścić swoją wieś — dodała staruszka. — Odzyskać zrabowane plony. Zasłużyć na wdzięczną pamięć ludu Han.

— Zostanę z wami — powiedziałam.

Od tego dnia ich chata stała się moim domem. Przekonałam się, że staruszka wcale nie układa igieł na podłodze: po prostu otwierała dach, wpuszczała do środka jesienny wiatr, a wraz z nim warkocze igieł — pasma brązowe, pasma zielone, pasma żółte. Stara kobieta tylko dyrygowała opadaniem igieł na ziemię, leciutko na nie dmuchając. Pomyślałam, że natura inaczej działa w górach, a inaczej w dolinach.

— Przede wszystkim musisz się nauczyć być cicho — pouczyła mnie staruszka. Staruszkowie zaczęli mnie zostawiać przy strumieniu, w miejscu, do którego zwierzęta przychodzą pić. — Jeżeli zakłócisz ciszę, sarna odejdzie spragniona.

Kiedy już potrafiłam klęczeć przez cały dzień bez skurczu nóg, oddychając przy tym równo i głęboko, wiewiórki zakopywały zapasy pod skrajem mojej koszuli, a potem kłaniały mi się ogonkami w triumfalnym tańcu. Nocą myszy i żaby wpatrywały się we mnie oczami jak meteoryty albo jak leniwe gwiazdy. Jednak nigdy nie udało mi się zobaczyć trójnogiej żaby: aby taką przywabić, trzeba głośno pobrzękiwać podłużnym mieszkiem pełnym monet.

Staruszkowie poddawali mnie ćwiczeniom, które zaczynały się o świcie, a kończyły dopiero o zachodzie słońca, żebym mogła zobaczyć, jak nasze cienie rosną, kurczą się i znowu rosną, mocno zakorzenione w ziemi. Nauczyłam się kręcić wkoło palcami, dłońmi, stopami, głową i całym ciałem. Stąpałam z pięt, obracając palce stóp na zewnątrz pod kątem trzydziestu-czterdziestu stopni: moje ślady na ziemi wyglądały jak ideogram „osiem" albo jak ideogram „człowiek". Ugiąwszy kolana, przechodziłam w powolny, miarowy marsz w przysiadzie, którym to krokiem mocarny wojownik przystępuje do walki. Po pięciu latach ćwiczeń moje ciało było mi tak posłuszne, że potrafiłam kontrolować zwężanie się i rozszerzanie własnych źrenic. Mogłam więc naśladować sowy i nietoperze. W języku chińskim „nietoperz" i „łaska" są homonimami. Po sześciu latach jelenie pozwalały mi biegać obok siebie. Umiałam wyskoczyć na dwadzieścia stóp w górę z pozycji stojącej i jak małpa przeskoczyć ponad dachem chaty. Każde stworzenie ma swoje kryjówki i swój sposób walki: wojownik podpatruje i wykorzystuje i jedne, i drugie. Kiedy ptak przysiadał na mojej dłoni, potrafiłam tak rozluźnić mięśnie, że tracił oparcie, z którego mógłby się odbić i odlecieć.

Nie umiałam tylko fruwać jak ten ptak, który przywiódł mnie w góry — chyba że we wspaniałych, lotnych snach o wolności.

W siódmym roku nauki (miałam wówczas czternaście lat) staruszkowie zawiązali mi przepaskę na oczach i powiedli mnie w góry białych tygrysów. Każde z nich ujęło mnie za łokieć i krzyknęli mi z obu stron prosto w uszy:

— Pędź. Pędź. Pędź.

Popędziłam. Biegłam coraz szybciej, nie spadając z urwisk, których krawędzie ledwie muskałam końcem stopy, i nie rozbijając sobie głowy o sterczące głazy. Nagłe podmuchy wiatru przenosiły mnie ponad korzeniami, głazami, nierównościami. W mgnieniu oka dotarliśmy do rewiru tygrysów — szczytu, który mieścił się trzy stopy pod niebem. Żeby tam wejść, musieliśmy się skulić.

Staruszkowie pomachali mi na pożegnanie, ześlizgnęli się w dół po stoku i zniknęli mi z oczu za drzewem. Staruszka, która była mistrzynią w posługiwaniu się łukiem i strzałami, zabrała je ze sobą. Staruszek zabrał swój bukłak na wodę. Miałam sobie radzić gołymi rękami. Śnieg leżał na ziemi i chmary rzadkiego śniegu nadal sypały się z nieba: to oddech smoka. Podążyłam w tę stronę, z której nadeszliśmy, a kiedy dotarłam do linii drzew, nazbierałam gałęzi wiśni, peonii i orzecha, który jest drzewem życia. Staruszkowie uczyli mnie, że ogień drzemie w tych drzewach, które na wiosnę rodzą czerwone kwiaty albo czerwone jagody i których liście jesienią czerwienieją. Nazbierałam chrustu z osłoniętych miejsc pod konarami i owinęłam go w chustę, żeby nie zwilgotniał. Pogrzebałam w ziemi tam, gdzie, jak mi się zdawało, mogły trzymać swoje zapasy wiewiórki: z każdej spiżarni ukradłam tylko jeden orzech albo dwa. Je również zawinęłam w chustę. Staruszkowie mówili, że człowiek jest w stanie przeżyć o wodzie pięćdziesiąt dni. Korzonki i orzechy postanowiłam zachować na ciężkie wspinaczki, na miejsca, w których nic nie rosło, albo na ewentual-

ność zagubienia drogi powrotnej do chaty. Wiedziałam, że tym razem nie poprowadzi mnie żaden ptak.

Pierwszej nocy spaliłam połowę drewna i zasnęłam, przytulona do grzbietu góry. Słyszałam, jak białe tygrysy buszują po drugiej stronie ogniska, ale nie mogłam odróżnić ich sylwetek od łat śniegu. Dzień wstał w samą porę. Pospieszyłam dalej, znowu zbierając po drodze opał i pożywienie. Nie jadłam nic, tylko piłam stopiony na ognisku śnieg.

Dwa pierwsze dni były jak prezenty: post okazał się taki łatwy, czułam się tak bezpieczna w kokonie własnej siły, że na trzeci — najcięższy — dzień z najwyższym zdziwieniem przyłapałam się na tym, że siedzę na ziemi nad rozsupłaną chustą i gapię się bezmyślnie na orzechy i wysuszone korzonki. Zamiast pójść dalej, albo chociaż coś zjeść, oddałam się marzeniom o mięsnych potrawach, które gotowała nam w domu matka, i całkiem zapomniałam o diecie mniszki. Tej nocy spaliłam większą część zgromadzonego chrustu i nie usnęłam, gdyż rozmyślałam o własnej śmierci — jeżeli nawet nie natychmiastowej, to nieuchronnej. Nie hibernujące zwierzęta księżyca wyszły na łów, ale ja, od chwili, gdy zamieszkałam z parą staruszków, porzuciłam obyczaje mięsożercy. Nie miałam chęci łowić pląsających dokoła myszy ani sów, które pikowały z wysokich drzew tuż za ogniskiem.

Czwartego i piątego dnia, mając wzrok wyostrzony głodem, dostrzegłam w oddali jelenie i poszłam ich tropem, gdy nasze drogi się zbiegły. Tam, gdzie jelenie skubały trawę, zbierałam grzybek — grzybek nieśmiertelności.

W południe dziesiątego dnia wypełniłam białym jak ryż śniegiem wyżłobienie w kamieniu, które mi wskazał palec lodowego sopla, a wokół kamienia rozpaliłam ogień. Do ciepłej wody wrzuciłam korzonki, orzechy i grzybek nieśmiertelności. Dla urozmaicenia posiłku czwartą część korzonków i orzechów zjadłam na surowo. Ach, ten gwałtowny przypływ zielonej radości w ustach, w głowie, w żołądku, w opuszkach palców stóp, w duszy! To był najlepszy posiłek, jaki jadłam w życiu.

Któregoś dnia stwierdziłam, że bez trudu pokonuję wielkie odległości, a mój tobołek jest lekki. Pożywienia było wokół tak mało, że przestałam się zatrzymywać, aby go nazbierać. Weszłam w obszar wymarły. Tu nie docierał nawet śnieg. Nie powróciłam jednak w żyźniejsze tereny, gdzie i tak nie mogłabym zostać na dłużej, tylko, postanowiwszy sobie, że będę szła szybko, aż osiągnę półmetek drogi do następnego lasu, ruszyłam dalej poprzez oschłe skały. Przytłoczona ciężarem niesionego na plecach opału, którego gałęzie dźgały mnie boleśnie z każdym krokiem, postanowiłam spalić prawie całe drewno, żeby nie tracić energii na dźwiganie go.

Na tej ziemi wymarłej straciłam rachubę dni. Zdawało mi się, że zawsze tak szłam, że moje życie nigdy nie wyglądało inaczej, a pomocy staruszka i staruszki zaznałam tylko w marzeniach. Miałam czternaście lat i zgubiłam drogę do rodzinnej wsi. Krążyłam w kółko. Czy staruszkowie już mnie znaleźli? Czy też dopiero miało to nastąpić? Tęskniłam za rodzicami. Staruszek i staruszka stanowili tylko część mojego zagubienia i głodu.

Pewnego dnia o zmierzchu zjadłam całą resztę pożywienia. Drewna, na szczęście, starczyło na porządne ognisko. Wpatrzona w ogień, przypominałam sobie, jak kiedyś pomagałam matce w kuchni — i rozpłakałam się na to wspomnienie. Dziwnie było patrzeć w ogień przez wodę i znów widzieć matkę. Przyzwalająco pokiwałam głową, rozgrzana i pomarańczowa.

Przykicał do mnie biały królik. W pierwszej chwili wzięłam go za pacynkę śniegu, która spadła z nieba. Królik i ja przyglądaliśmy się sobie uważnie. Mięso królika smakuje jak mięso kurczęcia. Rodzice nauczyli mnie zabijać króliki przez uderzanie ich w łeb dzbanem na wino, i schludnie ściągać z nich skórki na futrzane kamizelki.

— Niełatwo żyć zwierzęciu w taką zimną noc — powiedziałam. — Chciałbyś się ogrzać przy ogniu? W takim razie pozwól, że dorzucę jeszcze jedną gałąź.

Nie miałam zamiaru uderzyć go w łepek gałęzią. Od królików nauczyłam się kopać do tyłu. Ten, który podszedł do mnie, mógł być chory, bo zwierzęta na ogół unikają ognia. A jednak wyglądał całkiem dziarsko: cały czas uważnie spoglądając mi w oczy, drobnymi skokami zbliżał się do ogniska. Nie zatrzymał się, gdy stanął na jego skraju. Odwrócił się pyszczkiem w moją stronę i skoczył w płomienie. Ogień na chwilę przygasł, jakby przysiadł ze zdziwienia, lecz zaraz strzelił znowu w górę, wyżej niż poprzednio. Gdy przestał tak silnie buzować, zobaczyłam, że królik zamienił się w idealnie przyrumienioną pieczeń. Zjadłam ją. Zrozumiałam, że królik poświęcił się dla mnie. Ofiarował mi dar mięsa.

Kiedy godzinami wędruje się wśród drzew — bo w końcu przeszłam przez martwą krainę i dotarłam do drzew — wszystko, na co się patrzy, jest poprzecinane liniami gałęzi i wzrok nie znajduje ukojenia, dopóki sam sobie nie wymyśli nowych widoków. Głód także zmienia obraz świata: człowiek odzwyczajony od jedzenia, odzwyczaja się również od widzenia. Zobaczyłam dwoje ludzi ze złota, tańczących taniec ziemi. Obracali się z taką doskonałością, że we dwoje tworzyli oś obrotu Ziemi. Była w nich wielka lekkość. Płynne złoto postaci stale zmieniało kształt: raz byli to chińscy tancerze lwa, a innym razem afrykańscy tancerze lwa, bez reszty pochłonięci tańcem. Słyszałam wysokie tony jawajskich dzwoneczków, które w połowie brzęku schodziły w niższe rejestry dzwonków indyjskich, hinduskich, indiańskich. Na moich oczach złote dzwonki rozszczepiły się w złote frędzle, te z kolei zlały się w dwa królewskie ornaty, te zaś razem zmiękły w lwią sierść. Ze świetlistej sierści podniosły się wysokie grzywy, aby stać się następnie promieniami światła. Potem tancerze odtańczyli przyszłość — przyszłość pod znakiem maszyny — w strojach, jakich nigdy przedtem nie widziałam. Widzę, jak stulecia mijają w mgnieniu oka, bo nagle rozumiem czas, który wiruje, trwając w jednym punkcie jak Gwiazda Północna. I rozumiem, że praca albo wykopki w polu to też taniec; że stroje wieśniaków są złote jak stroje monarchów i że jedno z tancerzy zawsze jest mężczyzną, a drugie kobietą.

Mężczyzna i kobieta rosną i jaśnieją. Cali są ze światła. Widzę dwa szeregi wysokich aniołów. Na ich plecach — wysokie, białe skrzydła. Może to są anioły nieskończone, a może widzę tylko dwa anioły w następstwie czasu. Nie mogę znieść ich jasności i zakrywam oczy, które bolą, bo, szeroko otwarte, dawno nie mrugały. Kiedy opuszczam dłonie odsłaniając oczy, poznaję brązowego staruszka i szarą staruszkę: idą do mnie z sosnowego lasu.

Przypuszczam, że ten drobny wyłom w tajemnicy istnienia dokonał się nie tyle za sprawą magii moich staruszków, co za sprawą głodu. W późniejszych latach, ilekroć pościłam przez czas dłuższy, czy to w bitwie, czy w okresie głodu, patrząc na zwykłych ludzi też widziałam ich światłość i pozłotę. Widziałam ich taniec. Gdy jestem odpowiednio głodna, wówczas nawet zabijanie i klęska stają się tańcem.

Staruszkowie nakarmili mnie gorącą zupą z jarzyn. Potem kazali sobie opowiedzieć, co mnie spotkało w górach białych tygrysów. Powiedziałam im, że białe tygrysy skradały się do mnie poprzez śnieg, ale odpędzałam je paląc ogniska, i że w końcu zjawili się moi praprzodkowie, żeby mnie bezpiecznie wyprowadzić z lasu. Że spotkałam królika, który nauczył mnie, czym jest ofiara całopalna i jak można przyspieszyć proces transmigracji: wcale nie trzeba zmieniać się najpierw w robaki, lecz można bezpośrednio stać się istotą ludzką — podobnie jak my sami w człowieczeństwie swoim przemieniamy w człowieka porcje zupy z jarzyn. To ich rozbawiło.

— Opowiadasz ciekawe historie — pochwalili mnie. — Teraz idź spać, a jutro rozpoczniemy lekcje smoka.

— Jeszcze jedno — chciałam im powiedzieć. — Widziałam was oboje i poznałam wasz prawdziwy wiek.

Ale nie powiedziałam tego, bo już spałam. Słowa wydobyły się ze mnie w postaci niewyraźnego pomruku. Bardzo chciałam opowiedzieć im o ostatniej chwili wędrówki, ale była to tylko chwila z wielu tygodni mej nieobecności, a zrelacjonowanie jej trwałoby do rana. Poza tym, oni na pewno i tak wszystko wiedzieli. W późniejszych latach, gdy spotykałam ich nieoczekiwanie albo dostrzegałam gdzieś z boku kątem oka — on miał postać przystojnego młodzieńca, wysokiego, o długich, czarnych włosach; ona zaś była tamtą piękną, młodą kobietą, która pląsała boso między drzewami. Wiosną ubierała się jak panna młoda: nosiła czarny, wyszywany żakiet, a we włosach gałązki jałowca. Nauczyłam się celnie strzelać z łuku, bo tarcze trzymali moi nauczyciele. Często, śledząc wzrokiem lot strzały, dostrzegałam z boku mimo woli obraz młodzieńca lub dziewczyny, ale gdy popatrzyłam wprost — znów oboje byli starzy. Odgadłam z ich zachowania, że stara kobieta była siostrą lub przyjaciółką starego mężczyzny, a nie jego żoną.

Kiedy wróciłam z próby przetrwania, staruszkowie zaczęli mnie kształcić w sztukach smoka. Trwało to kolejne osiem lat. Naśladowanie tygrysów, ich sposobu skradania się i okazywania gniewu było dziką, krwiożerczą przyjemnością. Tygrysa nietrudno znaleźć. Ale dla poznania smoka potrzebowałam wsparcia dojrzałej mądrości.

— O całym smoku musisz wnioskować z jego części, które

jesteś w stanie zobaczyć i dotknąć — pouczyli mnie staruszkowie.

Smoki, w przeciwieństwie do tygrysów, są przeogromne. Wiedziałam, że nigdy nie zobaczę smoka w całości. Mogłam jednak poznać góry, które są zwieńczeniem smoczej głowy.

— Te góry przypominają czubek głowy każdego smoka — uczyli mnie staruszkowie.

Wspinając się po zboczach, rozumiałam, że jestem robakiem wędrującym po czole smoka: ten smok przemierza kosmos, a prędkość jego ruchu tak bardzo różni się od mojej prędkości, że wydaje mi się on całkiem nieruchomy. W kamieniołomach oglądałam ułożone warstwami smocze żyły i mięśnie, a także minerały — zęby i kości smoka. Dotykałam takich samych kamieni, jakimi ozdabiała się stara kobieta: to był jego szpik kostny. Uprawiałam ziemię, która jest ciałem smoka; zbierałam plony i wspinałam się na drzewa, które są jego włosami. Głos smoka słyszałam w grzmotach burzy; jego oddech czułam jako wiatr, a kłęby pary wodnej, które wydychał, oglądałam na niebie w postaci chmur. Język smoka to błyskawica. A czerwień, którą błyskawica daje światu, ma wielką moc i przynosi szczęście: zawarta jest we krwi, w makach, różach i rubinach, w czerwonych piórach ptaka, w czerwonym karpiu, w drzewie wiśni, w peonii, w obwódce oka żółwia i kaczki. Wiosną, gdy smok się budził, obserwowałam poruszenia jego cielska w rzekach.

Najbliżej obejrzenia smoka w całości byłam w dniu, gdy staruszkowie ścięli pasek kory z sosny, która liczyła sobie przeszło trzy tysiące lat. Spływająca pod korą żywica układa się w kręte kształty smoczych cielsk.

— Jeżeli na starość zdecydujesz, że chcesz pożyć następne pięćset lat, przyjdź tutaj i wypij dziesięć funtów tego soku — powiedzieli mi staruszkowie. — Ale nie rób tego teraz. Jesteś za młoda na podejmowanie decyzji o wiecznym życiu.

Podczas burzy staruszkowie kazali mi zbierać ziele czerwonej chmury, które wyrasta tylko wtedy, z połączenia smoczego ognia i smoczego deszczu. Przynosiłam staruszkom liście tego ziela, a oni jedli je dla zapewnienia sobie nieśmiertelności.

Nauczyłam się otwierać swój umysł tak szeroko, jak szeroki jest wszechświat, aby uczynić w nim miejsce na paradoksy. Perły są szpikiem kostnym smoka; perły pochodzą z ostryg.

Smok mieszka w niebie, w morzu, na bagnach i w górach — ale góry są zarazem smoczą czaszką. Głos smoka dudni i dzwoni jak miedziane rondle. Smok zieje ogniem i wodą. Czasami smok jest jeden, a czasem jest go wiele.

Pracowałam codziennie. Kiedy padało, ćwiczyłam w strugach deszczu, wdzięczna za to, że nie muszę wyciągać z ziemi słodkich ziemniaków. Poruszałam się jak drzewa na wietrze. Byłam wdzięczna, że nie muszę brodzić w kurzych odchodach, których koszmarne wspomnienie trapiło mnie coraz rzadziej.

Zawsze rankiem w dzień Nowego Roku staruszek pozwalał mi zajrzeć w głąb bukłaka, gdzie widziałam moją rodzinę. Spożywali wówczas najobfitszy posiłek w roku. Bardzo za nimi tęskniłam. Kiedy jeszcze byliśmy razem, czułam się kochana: miłość sączyła się z palców dorosłych, kiedy wtykali czerwone pieniądze w nasze kieszenie. Staruszkowie nie dawali mi pieniędzy, tylko co roku, przez piętnaście lat, po jednym koraliku. Rozwijałam czerwony papier, obracałam koralik w palcach, a potem staruszkowie zabierali mi go na przechowanie. Jedliśmy, jak zwykle, posiłek mnichów.

Zaglądając do bukłaka, mogłam też śledzić losy tych, których przyjdzie mi zgładzić. Nieświadomi tego, że ich obserwuję, tłuści mężczyźni obżerali się mięsem; tłuści mężczyźni pili wino z ryżu, tłuści mężczyźni dosiadali nagich dziewczynek. Patrzyłam, jak możni liczą swoje pieniądze, i jak ci, którzy przymierają głodem, liczą swoje. Kiedy bandyci znosili do domów swoje łupy, czekałam, aż zdejmą maski, chcąc poznać twarze wieśniaków, którzy okradają sąsiadów. Uczyłam się na pamięć twarzy generałów o głowach zdobnych w chwiejne pióra, znamionujące ich wysoką rangę, i twarzy rebeliantów, którzy przewiązywali czoła opaskami z wypisanymi na nich przysięgami śmierci.

Staruszek zwracał moją uwagę na przewagi i słabości bohaterów, którzy ścierali się w klasycznych bitwach — ale wojna niweczy cały urok pięknych, powolnie rozgrywanych, tradycyjnych walk. Widziałam młodego wojownika, który oddawał cześć przeciwnikowi, a w tej samej chwili pięciu wieśniaków dopadło go od tyłu z kosami i młotami. Przeciwnik nie ostrzegł młodego wojownika.

— Podstępne łotry! — zawołałam. — Jak mam wygrywać z oszustami?

— Nie martw się o to — powiedział staruszek. — Nigdy nie dasz się złapać w pułapkę jak ten nieszczęsny amator. Ty widzisz, co się dzieje z tyłu, jak nietoperz. Jedną ręką odepchniesz za siebie wieśniaków, a drugą zabijesz wojownika.

W dni menstruacji nie przerywałam treningów: byłam równie silna jak zwykle.

— Stałaś się dorosła — wyłumaczyła mi staruszka za pierwszym razem, który zdarzył mi się w połowie pobytu na górze. — Możesz rodzić dzieci. — A ja myślałam, że skaleczyłam się skacząc przez miecze, jeden ze stali, a drugi z pojedynczej sztaby nefrytu. — Prosimy cię jednak — dodała staruszka — abyś odłożyła rodzenie na kilka lat.

— Czy mogę się w takim razie posłużyć sztuką kontroli, której mnie wyuczyliście, aby powstrzymać to krwawienie?

— Nie. Przecież nie powstrzymujesz się od wydalania — wytłumaczyła mi. — Z krwią jest tak samo. Niech płynie. (Po chińsku: „Niech idzie.")

Aby osłodzić mi fakt, że jestem w tym dniu z dala od bliskich, pozwolili mi zajrzeć do bukłaka. Cała rodzina udała się z wizytą do znajomych po drugiej stronie rzeki. Mieli na sobie najlepsze ubrania i częstowali się nawzajem ciastkami. Było wesele. Moja matka rozmawiała z gospodarzami.

— Dziękuję wam, żeście wzięli naszą córkę. Bez względu na to, gdzie teraz przebywa, na pewno i ona się tym cieszy. Z pewnością kiedyś wróci, jeżeli tylko żyje, a jeżeli jest duchem, to dzięki wam zyskała linię genealogiczną. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

To prawda, byłabym szczęśliwa. Dzięki ich miłości zaznałabym pełni szczęścia, mając za męża kolegę zabaw z dzieciństwa, który mnie kochał tak bardzo, że zgodził się poślubić ducha. O, jacy będziemy szczęśliwi, kiedy powrócę w dolinę, zdrowa i silna, i wcale nie jako duch!

Woda ukazała mi zbliżenie drogiej twarzy mojego małżonka, a gdy się w nią wpatrywałam, twarz ta pobladła nagle: z tętentem końskich kopyt i brzękiem szabel zbliżali się zbrojni jeźdźcy. Moi krewni chwycili za żeliwne rożna, kociołki wrzącej zupy, noże kuchenne, młoty i nożyce — cokolwiek akurat mieli pod ręką — ale ojciec powiedział: „Nie. Jest ich zbyt wielu." Więc odłożyli broń i w milczeniu czekali na intruzów u wejścia, otwartego jak na powitanie gości. Armia jeźdźców stanęła

przed domem. W dali widać było nadciągającą piechotę. Jeździec, na którym srebrne łuski zbroi płonęły jaskrawo w blasku słońca, rozwinął rulon i wykrzyczał to, co na nim było napisane, a każde słowo otwierało w jego czarnej brodzie czerwoną jamę.

— Wasz pan żąda pięćdziesięciu mężczyzn z tego okręgu, po jednym z każdej rodziny. — Po czym wyczytał nazwiska.

— Nie! — krzyknęłam w głąb bukłaka.

— Pójdę — powiedzieli swoim ojcom mój świeżo poślubiony mąż i mój najmłodszy brat.

— Nie — rzekł mój ojciec. — Ja pójdę.

Ale kobiety przytrzymały go, aż przemaszerowała cała piechota, a wraz z nią mój małżonek i mój brat.

Woda, jakby wzburzona rytmem marszu, zmąciła się na chwilę, a kiedy znów ustała — „Czekajcie!", krzyknęłam, „Czekajcie!" — widać w niej było obcych. Możny pan wraz z rodziną — z całą rodziną — bili czołem o ziemię i głośno dziękowali bogom za to, że uchronili ich od poboru. Widziałam świńską gębę bogacza i rozdziawione usta, żujące kawał ofiarnego prosięcia. Sięgnęłam w głąb bukłaka, żeby pochwycić grubasa za obrosłe tłuszczem gardło, ale rozprysł się na kawałki, ochlapując mi wodą twarz i ubranie.

— Dlaczego nie wolno mi pójść im na pomoc? — zawołałam. — Zabiorę chłopców, uciekniemy, będziemy się chować w jaskiniach.

— Nie — rzekł mi na to staruszek. — Jeszcze nie jesteś gotowa. Masz zaledwie czternaście lat. Odniosłabyś wiele ran bez żadnego pożytku.

— Poczekaj, aż będziesz miała dwadzieścia dwa lata — dodała staruszka. — Urośniesz i nabędziesz doświadczenia. Zrobisz wtedy wszystko, co zechcesz, i żadna armia cię przed tym nie powstrzyma. Jeżeli pójdziesz tam teraz — zabiją cię. Siedem i pół roku naszych starań pójdzie na marne, a twój lud dalej pozostanie bez wodza.

— Umiem już dość, żeby uratować chłopców.

— Uczymy cię, nie szczędząc starań, nie po to, byś mogła uratować dwóch chłopców, ale po to, abyś uratowała wiele rodzin.

Mieli rację.

— Naprawdę sądzicie, że kiedyś będę zdolna pokonać armię?

— Nawet gdyby przyszło ci walczyć z żołnierzami wyćwiczonymi tak jak ty sama, będą to w większości mężczyźni, ciężcy i brutalni. Twoja lekkość da ci nad nimi przewagę. Bądź cierpliwa.

— Co pewien czas możesz zajrzeć do bukłaka i sprawdzić, co się dzieje z twoim mężem i bratem — powiedział staruszek.

Ale ja przestałam już odczuwać panikę na myśl o losach męża i brata. Czułam, jak zatrzasnęły się we mnie drewniane drzwi. Kiedyś, w gospodarstwie rodziców, nauczyłam się, jak można przestać kochać zwierzęta przeznaczone na rzeź. Nauczyłam się też w jednej chwili obdarzać miłością stworzenie, jeśli usłyszałam: „Będziemy je chować dla przyjemności" — uwalniając w ten sposób moje uczucia; otwierając wewnętrzne drzwi. Nasza rodzina straciła wielu mężczyzn — kuzynów i wujów — których wzięto do wojska albo na czeladników. Los tych ostatnich jest niemal tak podły jak los dziewcząt-służących.

Krwawiłam i myślałam o ludziach, którzy zostaną zabici. Krwawiłam i myślałam o ludziach, którzy się narodzą.

Przez lata spędzone na górze nie rozmawiałam z nikim oprócz pary staruszków, ale oni zdawali się być mnóstwem ludzi. Cały świat mieścił się w bukłaku na wodę. Ziemia była zielono-błękitną perłą, jak ta, którą bawi się smok.

Gdy potrafiłam dokonać tego, że na mój znak na niebie pojawiał się miecz — srebrna błyskawica w blasku słońca, którym to mieczem władałam za pomocą myśli, staruszkowie stwierdzili, że mogę odejść. Staruszek po raz ostatni rozsupłał dla mnie bukłak: z naszego domu wychodził pański posłaniec, a mój ojciec mówił: — „Tym razem ja muszę iść walczyć." Postanowiłam, że zbiegnę szybko z góry i zajmę jego miejsce. Staruszkowie wręczyli mi piętnaście koralików, którymi miałam się posłużyć, zawsze gdy znajdę się w wielkim niebezpieczeństwie. Dali mi męski strój i zbroję. Wymieniliśmy ukłony. Przez całą drogę w dół leciał nade mną ptak, a przez kilka pierwszych mil, ilekroć obejrzałam się za siebie, widziałam parę staruszków, którzy machali mi na pożegnanie. Widziałam ich poprzez mgłę, widziałam ich na obłokach, widziałam ich wielkie postacie na szczycie góry, chociaż rosnące tam sosny zmalały w oddali. Przypuszczam, że zostawili mi na pociechę swoje machające na pożegnanie oblicza, a sami zajęli się swoimi sprawami.

Gdy dotarłam do rodzinnej wsi, moja matka i mój ojciec byli już tak starzy jak tamci dwoje, których postacie w końcu znikły mi z oczu. Pomogłam rodzicom dźwigać narzędzia, oni zaś maszerowali przede mną sztywno wyprostowani — każde niosło kosz albo motykę, żeby mi ująć ciężaru, i każde skrycie płakało. Rodzina otoczyła mnie tak wielką miłością, że prawie zapomniałam o tych, których już przy mnie nie było. Zgodnie z obyczajem, chwaliłam potomstwo, które przyszło na świat pod moją nieobecność.

— Niektórzy mówią, że porwało cię Ośmiu Mędrców, żeby wyuczyć cię czarów — powiedziała mała kuzynka. — Podobno zamienili cię w ptaka i pofrunęłaś do nich.

— A inni powiadają, że zawędrowałaś do miasta i zostałaś prostytutką — zachichotała inna kuzynka.

— Możecie powiedzieć ludziom, że spotkałam nauczycieli, którzy zechcieli udzielić mi swojej wiedzy — powiedziałam im na to.

— Idę do wojska — oznajmił mi ojciec.

— Nie, ojcze — rzekłam. — Ja pójdę za ciebie.

Rodzice zarżnęli kurę i ugotowali ją w całości, jak na powrót syna, ale ja przecież porzuciłam obyczaj jadania mięsa. Nasyciwszy się ryżem i jarzynami, spałam długo, aby nabrać sił do zadań, które mnie czekały.

Rankiem rodzice obudzili mnie prosząc, abym im towarzyszyła do komnaty przodków.

— Pójdź w nocnym stroju — powiedziała matka. — Nie przebieraj się jeszcze.

Matka niosła miskę, ręcznik i czajnik z gorącą wodą. Ojciec — butelkę wina, tusz, kamień do pisania, pióra i noże różnych rozmiarów.

— Chodź z nami — powiedzieli.

Łzy, którymi mnie witali poprzedniego dnia, już obeschły. Poczułam — czy też raczej przeczułam — zapach: metaliczną, żelazną woń krwi, zapach rodzącej kobiety, zapach wielkiego zwierzęcia złożonego w ofierze, woń mojej własnej menstruacji, podczas której śniłam czerwone sny.

Matka położyła poduszkę na ziemi, przed ścianą przodków.

— Klęknij tutaj — powiedziała. — Zdejmij koszulę.

Uklękłam tyłem do rodziców, aby żadne z nas nie poczuło się zażenowane. Matka umyła mi plecy, tak jakby moja nieobecność w domu trwała jeden dzień i jakbym dalej była jej maleńkim dzieckiem.

— Wyryjemy ci zemstę na plecach — rzekł ojciec. — Wypiszemy ci na skórze przysięgi i imiona.

— Gdziekolwiek pójdziesz, cokolwiek cię spotka, ludzie poznają nasze poświęcenie — powiedziała matka. — Ty sama też go nigdy nie zapomnisz.

Chodziło jej o to, że nawet gdybym została zabita, moje ciało będzie mogło posłużyć ludziom za broń — ale my nie lubimy nazywać śmierci po imieniu.

Najpierw ojciec wypisał wszystko tuszem i pędzelkiem: słowa sfrunęły rzędami po moich plecach. Potem zaczął je wycinać: cienkie linie i punkty cienkimi ostrzami, grube linie — grubymi.

Matka zbierała krew i przecierała nacięcia zimnym ręcznikiem zmoczonym w winie. Ból był potworny: kłujące ostrza, piekące powietrze, alkohol, który był najpierw zimny, a potem gorący — doznałam wszelkich odmian bólu. Ścisnęłam kolana. Rozluźniłam je. Ani napięcie, ani rozluźnienie nie pomogło. Chciałam płakać. Gdyby nie piętnaście lat ćwiczeń, wiłabym się z bólu po podłodze; trzeba by było trzymać mnie siłą. Lista skarg wydłużała się. Jeżeli wróg obedrze mnie ze skóry, dostanie w ręce skórę ażurową jak koronka.

Pod koniec wycinania ostatniego znaku upadłam na twarz. Rodzice chórem wyrecytowali tekst, a potem dali mi odpocząć. Matka chłodziła wachlarzem moje plecy.

— Zostaniesz z nami, aż się wygoją — powiedziała.

Po pewnym czasie, gdy już mogłam siadać, matka przyniosła dwa lustra: zobaczyłam w nich własne plecy, gęsto pokryte kolumnami czerwonych i czarnych słów. Jak armia — moja armia. Rodzice pielęgnowali mnie jak wojownika, rannego na polu bitwy po wielu zwycięstwach. Wkrótce odzyskałam siły.

Biały koń wkroczył na dziedziniec, gdzie polerowałam zbroję. Chociaż wszystkie bramy były dobrze zamknięte, wszedł do mnie bramą księżyca — królewski biały koń, z siodłem i uzdą z czerwonymi, złotymi i czarnymi pomponikami. Siodło miało dokładnie moją miarę, a tłoczone było misternie

w kręte tygrysy i smoki. Biały koń niecierpliwie grzebał nogą na znak, że już czas ruszać w drogę. Na kopytach jednej przedniej i jednej tylnej nogi nosił ideogram „latać".

Rodzice i ja wyczekiwaliśmy takiego znaku. Zdjęliśmy z konia świetne juki i napełniliśmy je leczniczymi maściami i ziołami, niebieską trawą do mycia włosów, swetrami na zmianę i suszonymi brzoskwiniami. Rodzice dali mi do wyboru dwie pary pałeczek: z kości słoniowej i ze srebra. Wybrałam srebrne, ponieważ były lżejsze. Czułam się, jakbym przyjmowała ślubną wyprawę. Kuzyni i sąsiedzi znosili słoje konfitur w wesołych kolorach, jedwabne suknie, srebrne nożyczki do haftu. Przynosili niebiesko-białe porcelanowe miski z wodą i pływającym w niej karpiem — karp, z płetwami jak pomarańczowe ognie, był również wymalowany na ściankach misek. Przyjmowałam wszystkie dary, także stoliki i gliniane dzbany, chociaż nie mogłam zabrać ich ze sobą w drogę. Zabrałam tylko mały miedziany kociołek. W kociołku można gotować i można z niego jeść, i nie trzeba za każdym razem szukać wyżłobionego kamienia albo skorupy żółwia.

Ubrałam się w strój mężczyzny i przywdziałam zbroję. Włosy także związałam po męsku.

— Jak ty pięknie wyglądasz — mówili ludzie. — Jak ona pięknie wygląda.

Z tłumu wystąpił młodzieniec. Wydał mi się znajomy: wyglądał jak syn staruszka albo jak sam staruszek, widziany czasem znienacka kątem oka.

— Chcę pójść z tobą — powiedział.

— Będziesz pierwszym żołnierzem w mojej armii.

Wskoczyłam na grzbiet konia i zdumiałam się siłą i wysokością, jakich mi przydawał. W tej samej chwili nadjechał znikąd jeździec na czarnym koniu. Wieśniacy rozproszyli się; tylko mój jeździec dalej stał niewzruszony na drodze. Dobyłam miecza.

— Stój! — krzyknął jeździec, wznosząc w górę bezbronne ręce. — Stój! Przybywam, żeby się do ciebie przyłączyć.

Wówczas wieśniacy ofiarowali mi najcenniejsze dary: swoich synów. Rodziny, które ukryły chłopców przed ostatnim poborem, z ochotą oddawały ich teraz do mojej armii. Przyjmowałam jednak tylko tych, bez których rodzice mogli się obejść, oraz tych, w oczach których płonął ogień męstwa. Nie brałam

młodych ojców ani tych, których odejście mogło uczynić kogoś nieszczęśliwym.

Byliśmy uzbrojeni lepiej niż wielu założycieli dynastii, którzy w przeszłości ruszali na północ, aby obalić cesarza. Tamci też byli wieśniakami — tak samo jak my. Miliony wieśniaków złożyły motyki na wyschłej ziemi i stanęły twarzą na północ. Usiedliśmy na polach, którym smok odmówił wilgoci, i ostrzyliśmy motyki. Postanowiliśmy dotrzeć do cesarskiego pałacu, nawet gdyby był oddalony o dziesięć tysięcy mil. Zamierzaliśmy stanąć oko w oko z cesarzem. Cesarz, który siedzi twarzą na południe, na pewno bardzo się wystraszy tłumu wieśniaków, ciągnących zewsząd, dniem i nocą, ku stolicy — ku Peipingowi. Cesarze ostatnich kilku dynastii musieli chyba spoglądać w złą stronę, bo inaczej zobaczyliby nas już dawno i nie dopuściliby do tego, abyśmy tak strasznie głodowali. Nie musielibyśmy wykrzykiwać na głos swoich skarg. Wieśniacy uczynią cesarzem chłopa, który zna się na ziemi, albo żebraka, który wie, co to głód.

— Dziękuję, matko. Dziękuję, ojcze — rzekłam na pożegnanie. Wyryli mi na plecach swoje imiona i adres. Wiedziałam, że powrócę.

Często szłam pieszo, prowadząc konia za uzdę, bo chciałam posuwać się ramię w ramię ze swoją armią. Gdy trzeba było wywrzeć odpowiednie wrażenie na innych armiach — czy to bandach łupieżców, czy kolumnach uchodźców, ciągnących drogą jedna przez drugą, czy oddziałach chłopców prowadzonych przez mistrzów sztuki walki — wówczas dosiadałam rumaka i jechałam na przedzie. Ci z moich żołnierzy, którzy mieli konie i broń, towarzyszyli mi z prawa i z lewa, siejąc postrach. Małe gangi przystawały do nas, lecz armie o równej lub większej sile niż nasza często wyzywały nas do walki. Z dzikim okrzykiem, wznosząc wysoko dwa miecze, atakowałam wodzów wroga. Gnałam na ich wojska swą krwiożerczą armię i walecznego rumaka. Bodłam go kolanami, bo ręce musiałam mieć wolne do mieczy, którymi kręciłam wokoło zielone i srebrne młynki.

Dawałam przykład swojej armii i karmiłam ją należycie. Nocami śpiewałam jej waleczne pieśni, które przychodziły mi do głowy prosto z nieba. Wystarczyło, że otworzyłam usta, a pieśń wylewała się przez nie, tak głośna, że słyszeli ją wszyscy

żołnierze, chociaż obozowisko mojej armii ciągnęło się na milę. Szyliśmy czerwone sztandary, wiązaliśmy czerwone opaski na ramionach, na nogach, na końskich ogonach. Ubieraliśmy się na czerwono i wkraczaliśmy do wiosek wesoło, jak w dzień Nowego Roku. Miejscowi chętnie się do nas przyłączali. Moja armia nie plądrowała: braliśmy jedzenie tam tylko, gdzie było go w nadmiarze. Gdziekolwiek szliśmy, sialiśmy ład i pokój.

Gdy już zebrałam pokaźną liczbę żołnierzy i odpowiednio wzmocniłam armię, napadaliśmy na siedziby bogaczy i ścigaliśmy wrogów, których widziałam na dnie bukłaka.

Mój pierwszy przeciwnik okazał się olbrzymem, znacznie większym niż generał-zabawka, którego oglądałam w wodzie bukłaka. Kiedy szarża ruszyła, odnalazłam wzrokiem wodza, który rósł w miarę, jak się do mnie zbliżał. Zwarliśmy się wzrokiem. Mój przeciwnik był tak wysoki, że aby patrzeć mu w oczy, musiałabym z całych sił wyciągać szyję, odsłaniając gardło pod nóż. Skierowałam więc wzrok na tajemne punkty śmierci w jego gigantycznym cielsku. Na początek jednym zamachem miecza odrąbałam mu nogę: tak Chen Luan-feng odrąbał nogę bogu burzy. Kiedy olbrzym zatoczył się w moją stronę, odrąbałam mu głowę. Natychmiast ujawnił swą prawdziwą postać — postać węża — i sycząc odpełznął na bok. Bitwa ustała. Zdumieni wojownicy rozdziawili oczy i usta. Czary olbrzyma przestały działać, a jego żołnierze poznawszy, że ich wodzem był wąż, poprzysięgli mi swoją wierność.

W ciszy po bitwie spojrzałam na wierzchołki gór — może staruszek i staruszka obserwowali mnie stamtąd? Może byłoby im przyjemnie zobaczyć, że o tym wiem? Roześmieją się w głos, kiedy postać z dna bukłaka puści do nich oko. Wtem, na zielonym nasypie ponad polem bitwy ujrzałam zapłakane żony olbrzyma. Wysiadły z palankinów, chcąc przypatrzeć się walce swojego małżonka, a teraz obejmowały się wzajemnie i szlochały. Były to dwie siostry — jak dwa małe elfy na tle nieba — od tej chwili wdowy. Długie podrękawy, wyciągnięte na wierzch dla otarcia łez, łopotały żałobną bielą w górskim wietrze. Po pewnym czasie kobiety z powrotem zasiadły w lektykach, a słudzy unieśli je w dal.

Wiodłam swą armię na północ. Z rzadka tylko przychodziło mi zbaczać z drogi: cesarz sam słał na mnie wrogów, których zwyciężałam. Wrogowie napadali nas czasem z dwóch lub

trzech stron jednocześnie; nieraz urządzali na mnie zasadzki, gdy jechałam przodem. Zwyciężaliśmy za każdym razem: przede mną jechał Kuan Kung — bóg wojny i literatury. O mnie też już zaczęto opowiadać baśnie. Podsłuchałam, jak żołnierze — a było już wielu takich, którzy mnie nigdy nie spotkali twarzą w twarz — opowiadali, że ilekroć zagraża nam klęska, ja wyciągam przed siebie dłoń i armia wroga zostaje zmieciona z pola walki. Z nieba sypie się grad wielkości ludzkich głów, a błyskawice tną jak miecze, ale nigdy nie sięgają tych, którzy walczą po mojej stronie. „Po jego stronie" — mówili moi żołnierze. Nie wyznałam im prawdy o swojej płci. Chińczycy karali śmiercią kobiety, które się przebierały za wojowników albo za uczniów, i to bez względu na to, jak dzielnie walczyły albo jak dobrze spisywały się na egzaminach.

Pewnego wiosennego ranka siedziałam w namiocie, reperując sprzęt, łatając odzież i studiując mapy, gdy nagle usłyszałam głos:

— Generale, czy mogę cię odwiedzić w twoim namiocie?

Do namiotu, tak jak do domu, nie wpuszczałam obcych. A ponieważ nie towarzyszył mi w wyprawie nikt z rodziny, nie miewałam gości. W Chinach jest dość miejsc, w których żołnierze mogą się spotykać: brzegi rzek, zbocza pagórków, cieniste pochyłości pod sosnami. Uchyliłam klapy namiotu. Skąpany w słońcu, stał tam mój małżonek, z naręczem polnych kwiatów, uzbieranych specjalnie dla mnie.

— Jesteś piękna — powiedział, a ja poznałam, że tak istotnie uważa. — Szukałem cię wszędzie. Szukałem cię od dnia, w którym ptak odleciał i zabrał cię stąd. — Byliśmy sobą zachwyceni: przyjaciel z lat dzieciństwa po latach odnaleziony, przyjaciółka z dzieciństwa tajemniczo dojrzała. — Szedłem za tobą, ale przeskakiwałaś z góry na górę, aż zgubiłem twój ślad.

— I ja ciebie szukałam — powiedziałam mu, już w namiocie, przytulnym jak nasz sekretny domek z lat dziecinnych. — Ilekroć doszły mnie słuchy o dzielnym wojowniku, biegłam sprawdzić, czy to nie ty. Widziałam, jak brałeś mnie za żonę. Bardzo się cieszę, że mnie poślubiłeś.

Zaszlochał, kiedy zdjął ze mnie koszulę i ujrzał słowa-blizny na mych plecach. Obróciłam się i dotknęłam jego twarzy: nowość tak dobrze znana zachwyciła mnie.

Miałam więc towarzysza. Byliśmy razem żołnierzami, mój

małżonek i ja, jak wówczas, gdy jako dwoje wiejskich dzieci bawiliśmy się w wojsko. Ramię w ramię jechaliśmy w bój. Gdy zaszłam w ciążę, przez ostatnie cztery miesiące nosiłam inną zbroję, w której wyglądałam jak bardzo potężny mężczyzna. Jako brzuchaty grubas maszerowałam pieszo z żołnierzami, aby nie narażać się na wstrząsy. Rozebrana do naga, byłam teraz zaiste przedziwną istotą, z plecami pokrytymi tatuażem słów i wielkim brzuchem pełnym dziecka.

Raz tylko zeszłam z pola walki: gdy wydawałam na świat nasze dziecko. W ciemnosrebrzystych snach widziałam, jak mój syn spada z nieba: jego dusza, która była gwiazdą, z każdą nocą coraz bardziej zbliżała się do ziemi. Tuż przed porodem ostatnie promienie gwiazdy wniknęły w mój brzuch. Mój małżonek przemawiał do mnie cały czas i nie odszedł, chociaż mu powtarzałam, że powinien wracać na pole walki. Odebrał dziecko i ułożył je na mojej piersi.

— A co zrobimy z tym? — zapytał, pokazując mi fragment pępowiny przy brzuszku niemowlęcia.

— Przytwierdzimy do masztu flagowego, niech wysycha — odpowiedziałam. Oboje widzieliśmy szkatułki, w których nasi rodzice przechowywali pępowiny wszystkich swoich dzieci. „Ta była twoja, a ta twoja" — pokazywała nam matka, a jej pamięć napawała nas nabożnym lękiem.

W obszernym wnętrzu mojej zbroi zmieściły się i nosidła dla dziecka. Całą rodziną ruszyliśmy w najgorętszy wir bitwy. Rozśmieszała nas pępowina synka, powiewająca wraz z czerwonym sztandarem. Nocą, w naszym namiocie, kołysałam dziecko na plecach. Nosidełko uszyte było z czerwonej satyny i fioletowego jedwabiu, a cztery szelki, które szły przez piersi i opasywały mnie w talii, kończyły się kieszonkami z zaszytymi w środku: monetą, nasieniem, orzechem i szpilką jałowca. Nosidełko ozdobiłam małym, pikowanym trójkątem, którego czerwony środek okalały dwa odcienie zieleni. Umieszczony na poziomie karku dziecka, trójkącik ten oznaczał pomyślność losu. Chodziłam pochylona do przodu. Dziecko grzało się przy moim ciele, oddychało w rytm mojego oddechu, a jego serce biło tak jak moje.

Kiedy niemowlę ukończyło pierwszy miesiąc życia, nadaliśmy mu imię i ogoliliśmy głowę. Na dzień obchodów drugiego miesiąca mój małżonek zdobył dwa jajka, które ufarbo-

waliśmy na czerwono, gotując je w wodzie z naszym sztandarem. Obrałam jedno jajko ze skorupki i przetoczyłam je po całej główce dziecka, po jego oczach, ustach, po guziczku nosa, policzku, po wzruszającej łysince, po ciemieniu. W jukach trzymałam suszone skórki grapefruita: je również zagotowaliśmy. W grapefruitowej wodzie umyliśmy sobie głowy i ręce, kropiąc nią też czoło i rączki dziecka. Potem dałam niemowlę na ręce mężowi, żeby je zaniósł do swojej rodziny. Wręczyłam mu też wszystkie pieniądze z łupów, aby je zaniósł mojej rodzinie.

— Idź już — powiedziałam. — Odejdź, zanim zacznie mnie poznawać.

Odeślę moje dziecko daleko, gdy jego oczy będzie jeszcze zasnuwała mgła, a piąstki zaciśnięte będą niczym młode pączki. Zmieniłam strój i stałam się na powrót smukłym młodzieńcem. Tylko w pustym namiocie było mi tak samotnie, że zaczęłam sypiać na zewnątrz.

Mój biały rumak przewracał wiadra do góry dnem i tańczył po nich; umiał także podnosić w zębach czarki pełne wina. Moi silni żołnierze unosili go w drewnianym cebrzyku, a koń tańczył w rytm werbli i fujarek. Razem z żołnierzami bawiłam się w rzucanie strzałami do celu, a celem tym był brązowy dzban. Ale zabawy nie cieszyły mnie już tak bardzo jak na początku żołnierskiej wyprawy.

To właśnie wtedy, w okresie tak wielkiego osamotnienia, gdy na każdy pisk żywej istoty mleko wzbierało potężnie w moich piersiach, stałam się roztargniona. Zapuściłam się kiedyś w głąb lasu, zbierając polne kwiaty. Wróg, który tylko na to czyhał, wyskoczył tłumnie zza drzew i z wysokich konarów. Na czele stał wódz, który górował nad pozostałymi niczym geniusz wypuszczony z bukłaka na wodę. Broniłam się rękami i nogami, ale wrogów było zbyt wielu: przyparli mnie do ziemi, a ich wódz dobył miecza. Mój strach zmaterializował się w postaci szybkiego, kąśliwego miecza, który ze srebrnym błyskiem rozdzielał na prawo i lewo błyskawiczne ciosy — wszędzie tam, gdzie naprowadziłam go swoją myślą. Dowódca wroga wpatrywał się przez chwilę w namacalny, samowładny miecz, który bez litości ciął jego ludzi, i nagle zaniósł się gromkim śmiechem. Jakby na sygnał jego śmiechu w powietrzu pojawiły się dwa następne miecze. Starły się z moim, aż poczułam w mózgu wibrację metalu. Siłą woli poleciłam swojemu mieczowi odparować ciosy i zaatakować głowę, która sterowała mieczami wroga. Ale przeciwnik walczył umiejętnie, zadając wciąż nowe rany memu umysłowi. Jego miecze rozwierały się i zamykały jak wściekłe nożyce; metal brzęczał i zgrzytał o metal. Musiałam bezustannie pilnować swego niebiańskiego miecza, nie zapominając o mieczach wroga, które obserwowałam jak parę marionetek. Geniusz skorzystał z tego, szarpnął mnie do tyłu za włosy i przyłożył mi sztylet do gardła.

— Ohoho! — triumfował. — I cóż my tu widzimy?

Wyciągnął mi spod koszuli woreczek z koralami i przeciął sznurek. Złapałam go za rękę, ale jeden z jego mieczy natychmiast dał nura w moją stronę, więc musiałam zrobić unik i przeturlać się na bok. Galopem nadbiegł koń wroga: mój przeciwnik wskoczył mu na grzbiet i pomknął w głąb lasu, unosząc w garści moje korale. Jego miecze walczyły jednak dalej, aż krzyknął: „Tutaj jestem!" — wówczas pomknęły do jego boku. A więc walczyłam z księciem, który do metalu, z którego odlał swoje miecze, domieszał krew dwóch rodzonych synów.

Wróciłam biegiem do swoich żołnierzy i zorganizowałam pościg, biorąc najszybszych jeźdźców. Nasze konie gnały jak małe, białe koniki, widoczne w grzywie fali. Na drugim krańcu równiny zobaczyliśmy wroga: diabelski tuman kurzu — pędził w kierunku horyzontu. Zogniskowałam wzrok, tak jak mnie tego nauczyły orły, i ujrzałam, jak geniusz wytrząsa z mieszka jeden koral i ciska go w naszą stronę. Nic się nie stało. Nie zerwała się burza ani trzęsienie ziemi, które rozwarłoby przed nami czeluść; nie spadł też grad wielkości ludzkich głów.

— Stać! — rozkazałam jeźdźcom. — Konie są zmęczone, a ja nie chcę go ścigać dalej na południe.

Od tej chwili wszystkie zwycięstwa miałam zawdzięczać wyłącznie sobie, osiągając je mozolnie i nie szukając ułatwień.

Stanęłam na szczycie ostatniego wzgórza przed Peipingiem i zobaczyłam w dole drogi wijące się jak żywe rzeki. Lasy i równiny rozdzielone drogami też się poruszały: na tej ziemi roiło się od ludzi — od ludu Han, Ludu Stu Nazwisk — maszerujących w rytm jednego serca pod naszymi sztandarami. Pojęłam wówczas rzeczywistą głębię i bezmiar Radości: był nią naród chiński. Po wielu trudach tylko nieliczni z naszych milionowych szeregów dotarli do stolicy. Stanęliśmy przed cesarzem.

Ścięliśmy mu głowę, oczyściliśmy pałac i osadziliśmy na tronie wieśniaka, który miał zaprowadzić nowy ład. Zasiadł na tronie w łachmanach, twarzą na południe, a my, wielki, czerwony tłum, pokłoniliśmy mu się trzy razy. Przywołał kilku z nas i mianował swymi przybocznymi generałami.

Ludziom, którzy ze mną przybyli, obwieściłam, że są wolni i mogą wracać do domu. Sama postanowiłam obejrzeć Wielki Mur, skoro był tak blisko. Kto chciał, mógł mi towarzyszyć. Niełatwo było rozwiązać szeregi po tak wspaniałych wspólnych przygodach, więc ruszyliśmy wszyscy razem pod północną granicę świata, ścigając po drodze Mongołów.

Dotknęłam Wielkiego Muru, przeciągnęłam kantem dłoni po wklęsłych spojeniach między kamieniami, śledząc szlak rąk budowniczych. Oparłszy czoła i policzki o Wielki Mur, płakaliśmy jak tamte kobiety, które kiedyś przybyły tu szukać swoich mężczyzn, od zbyt dawna zajętych budowaniem muru. Nie znalazłam na północy mojego brata.

Niosąc wieść o nowym cesarzu, pospieszyłam do domu, gdzie czekała mnie jeszcze jedna bitwa. Możny pan, który zabrał do wojska mojego brata, dalej czynił spustoszenie w naszej wsi. Rozstawiwszy żołnierzy po rozstajach i mostach, samotnie uderzyłam na twierdzę barona. Przeskoczyłam okalający ją podwójny mur i wylądowałam na ugiętych kolanach, z mieczami w pogotowiu, gotowa do ciosu. Skoro nikt mnie nie wyzwał, schowałam miecze do pochew i obeszłam domostwo jak gość, aż natknęłam się na samego barona. Liczył pieniądze: jego grube, upierścienione palce biegały po liczydłach.

— Kim jesteś? Czego chcesz? — zapytał, osłaniając majątek ramionami. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, opasły, niczym bożek.

— Chcę twojego życia jako zapłaty za zbrodnie, których się dopuściłeś wobec wieśniaków.

— Tobie nic złego nie zrobiłem. To wszystko jest moje, uczciwie zarobione. Nie okradłem cię. Nigdy w życiu cię nie widziałem. Kim jesteś?

— Jestem mścicielką.

Wówczas — niebiosa, miejcie go w opiece — spróbował zwieść mnie przyjaźnią, przemawiając jak mężczyzna do mężczyzny.

— Dajże spokój. Kto nie weźmie dziewczyny, jeżeli mu się

nadarzy okazja? Rodziny chętnie pozbywają się córek. „Dziewczyna jest jak robak w ryżu", „Lepiej hodować gęsi niż córki" — cytował powiedzonka, których szczególnie nienawidziłam.

— Okaż skruchę, zanim cię zabiję — powiedziałam mu.

— Robiłem tylko to, co każdy inny mężczyzna — ciebie nie wyłączając — robiłby na moim miejscu.

— Zabrałeś mi brata.

— Zawsze zwracam wolność moim czeladnikom.

— On nie był czeladnikiem.

— W dobie wojny Chiny potrzebują żołnierzy.

— Ukradłeś mi dzieciństwo.

— Nie wiem, o czym mówisz. Nie znam cię. Nic ci nie zrobiłem.

— Oto co zrobiłeś — powiedziałam i zerwałam koszulę, żeby pokazać mu plecy. — Ty jeden odpowiadasz za to wszystko.

Widząc, z jakim zdumieniem gapi się na moje piersi, cięłam go przez twarz, a drugim ciosem odrąbałam mu głowę.

Nałożyłam koszulę z powrotem i otworzyłam dom dla wieśniaków. Rodzina i służba barona pochowała się w szafach i pod łóżkami. Wieśniacy powyciągali ich na dziedziniec i osądzili jednego po drugim pod gilotyną.

— Czy przyznajesz, że zabrałeś mi plony, skazując moje dzieci na jedzenie trawy? — pytał z płaczem chłop.

— Widziałem go, jak kradł ziarno do sadzenia — zaświadczał inny.

— W czasie napadu razem z całą rodziną siedziałem ukryty na dachu pod strzechą i widziałem tego tutaj, gdy zdjął maskę.

Oszczędzono jednak tych, którzy rokowali nadzieję poprawy. To oni musieli pozbawić głów pozostałych. Szyję skazańca opasywała obroża gilotyny, która następnie powoli się zaciskała. Zdarzyło się jedno uniewinnienie w ostatniej chwili: świadek wystąpił głośno w obronie strażnika ochrony osobistej, kiedy machina zdążyła już wycisnąć ze skazańca pierwsze krople krwi. Strażnik dostał się do służby niedawno, w wyniku wymiany za dziecko-zakładnika. Powolna procedura zabijania daje przestępcy czas na skruchę i wygłoszenie wiarygodnej obietnicy poprawy.

Obeszłam cały dom w poszukiwaniu reszty podsądnych. Natrafiłam na zamknięty pokój. Wyważywszy drzwi, ujrzałam

grupę skulonych, pochlipujących kobiet. Dobiegły mnie ich przenikliwe owadzie piski i szuranie. Kobiety patrzyły na mnie, niepewnie mrugając oczami, niczym bażanty hodowane w ciemnicy dla większej kruchości mięsa. Porzucone przez służbę przydzieloną im do opieki, biedactwa nie mogły nawet uciec na swoich małych, skrępowanych stópkach. Niektóre odczołgały się przede mną w kąt, podpierając się łokciami. Były niezdolne do życia. Zawołałam wieśniaków i zapytałam ich, czy widzą w tej grupie córki, które chcieliby zabrać do domu, ale nie było chętnych. Każdej z kobiet ofiarowałam worek ryżu. Usiadły na tych workach. Wytoczyły je na drogę i zniknęły mi z oczu jak duchy. Podobno założyły najemny oddział żeński. Nie ubierały się po męsku jak ja: jeździły konno w czarno-czerwonych sukniach. Skupowały po domach niemowlęta płci żeńskiej, dlatego sporo ubogich rodzin z ochotą witało je u siebie. Ilekroć jakaś służąca albo synowa uciekła z domu, mówiono, że zaciągnęła się do oddziału wiedźm-amazonek. Zabijały mężczyzn i chłopców. Osobiście jednak nigdy się z nimi nie zetknęłam i nie ręczę za to, że istniały naprawdę.

Kiedy sąd dobiegł końca, pozrywaliśmy ze ścian tablice z imionami przodków.

— W tej wielkiej sali będziemy odbywali narady ludowe — obwieściłam. — Będziemy tu wystawiać opery, śpiewać, opowiadać baśnie.

Zmyliśmy wodą dziedziniec, a domostwo egzorcyzmowaliśmy dymem i czerwonym papierem.

— Zaczął się nowy rok — powiedziałam ludziom. — Rok pierwszy.

Udałam się do domu, do moich teściów, męża i syna. Syn wpatrywał się we mnie z zachwytem: generał, którego widział w paradzie, zrobił na nim ogromne wrażenie. Ale ojciec powiedział mu: „To twoja matka. Idź do matki." Syn był uszczęśliwiony, że błyszczący generał jest w dodatku jego matką, która mu dała ponosić generalski hełm i potrzymać miecz.

Ubrana w czarny, haftowany ślubny płaszcz, uklękłam przed teściami, tak jak to czyni panna młoda.

— Wypełniłam swój publiczny obowiązek — powiedziałam. — Teraz zostanę z wami, będę pomagała w polu i w domu, i urodzę wam więcej synów.

— Najpierw pójdź odwiedzić swoich rodziców — rzekła teściowa, kobieta wielkiej wyrozumiałości. — Pragną cię powitać.

Moja matka, mój ojciec i cały klan żyli dostatnio dzięki pieniądzom, które im posyłałam. Rodzice sprawili sobie trumny. Ofiarą ze świni podziękowali bogom za mój powrót. Ze słów wyrytych na moich plecach i z tego, jak się spełniły, wieśniacy utkali legendę o doskonałym posłuszeństwie.

Życie w Ameryce było jednym wielkim rozczarowaniem.

— Mam same piątki, mamo.

— Posłuchaj prawdziwej opowieści o dziewczynie, która uratowała swoją wieś.

Nie umiałam sobie wyobrazić rodzinnej wsi. A wiedziałam, że muszę dokonać czegoś wielkiego i wspaniałego, bo inaczej rodzice sprzedadzą mnie po powrocie do Chin. W Chinach wiadomo było, co robić z córkami, które dużo jedzą i przysparzają kłopotów. Samymi piątkami jeszcze nikt się nie wyżywił.

Czasami któreś z moich rodziców, albo innych emigrantów ze wsi, cytowało stare porzekadło: „Karmić dziewczynki to jakby karmić wróble." Wtedy ja rzucałam się na ziemię i dostawałam spazmów. Nie można mnie było uspokoić.

— Co jej jest?

— Nie wiadomo, podły charakter, i tyle. Jak to dziewczynka. „Z dziewczynki nie ma żadnego pożytku, lepiej hodować gęsi."

— Spuściłbym jej lanie, gdyby była moja. Chociaż uczyć dziewczynkę dyscypliny to też strata czasu. „Córki wychowujesz dla obcych."

— Przestań się mazać! — wrzeszczała na mnie matka. — Przestań, bo oberwiesz! Co za niedobra dziewczyna. Dosyć tego!

Obiecywałam sobie nigdy nie bić ani nie besztać swoich dzieci za to, że płaczą; przecież skutek tego jest taki, że płaczą jeszcze głośniej.

— Nie jestem niedobrą dziewczyną — piszczałam przez łzy. — Nie jestem niedobrą dziewczyną, nie jestem niedobrą dziewczyną.

Z równym powodzeniem mogłam krzyczeć: „Nie jestem dziewczynką!"

— Kiedy byłaś malutka, w kółko powtarzałaś: „Nie jestem niedobrą dziewczyną", i stale zmuszałaś się do płaczu — wspomina do dziś moja matka.

Dobrze widziałam, jak inni emigranci kiwają głowami nade mną i nad moją siostrą:

— Jedna dziewczynka, i druga dziewczynka — wzdychali, a rodzicom było wstyd wyprowadzać nas obie na spacer. Dobrą stroną przyjścia na świat braci było to, że ludzie przestali mówić: „Same dziewczynki." Za to poznałam nowe problemy. „Czy kiedy ja się urodziłam, też tak toczyłaś jajko po mojej buzi?", „Czy przyjęcie z okazji moich urodzin też trwało cały miesiąc?", „Paliliście wszystkie lampy?", „Moje zdjęcie też posłałaś Dziadkom?", „Dlaczego nie?", „Bo jestem dziewczynką — dlatego?" „Dlaczego nie uczyliście mnie angielskiego?", „Chcecie, żeby mnie bili w szkole, tak?"

— Paskudna dziewucha, co? — mówili o mnie wiejscy emigranci.

— Chodźcie, dzieci. Prędzej. Prędzej. Kto idzie ze stryjecznym dziadkiem? — W soboty rano zakupy robił mój stryjeczny dziadek, były pirat rzeczny. — Kto chce iść, niech zaraz zakłada kurtkę.

— Ja idę. Ja idę. Poczekajcie.

Na dźwięk głosów dziewczynek stryjeczny dziadek odwracał się i ryczał:

— Żadnych dziewczynek!

Po czym wychodził, a siostra i ja wieszałyśmy kurtki z powrotem, unikając nawzajem swoich spojrzeń. Chłopcy wracali z miasta z cukierkami i nowymi zabawkami. Gdy wędrowali przez chińską dzielnicę, ludzie na pewno mówili: „Chłopak, i drugi chłopak, i jeszcze jeden chłopak!" Na pogrzebie stryjecznego dziadka radowałam się w duchu śmiercią tego zwalistego olbrzyma — uosobienia męskości.

Poszłam na studia — Uniwersytet Berkeley, lata sześćdziesiąte — gdzie uczyłam się i maszerowałam w demonstracjach, żeby zmienić świat, ale nawet tam nie zmieniłam się w chłopca. O, gdybym tak mogła wrócić do rodziców jako syn! Powitaliby mnie ucztą z kurcząt i prosiąt. Tak witali mojego brata, kiedy żywy powrócił z Wietnamu.

Gdybym to ja pojechała do Wietnamu, nie wróciłabym nigdy; córki porzucają rodziny. Mówi się: „Natura ciągnie

kobietę od domu" — co znaczy, że zbierałam moje same piątki na pożytek rodziny przyszłego męża, a nie mojej własnej. A ja przecież w ogóle nie planowałam zamążpójścia. Zamierzałam udowodnić matce, ojcu i wścibskim wiejskim emigrantom, że m n i e nic nie ciągnie od domu. Przestałam zbierać same piątki.

I cały czas musiałam pozować na kobietę amerykańską, bo inaczej o randkach nie byłoby mowy.

Żeńskie „ja" ma w języku chińskim oddzielne słowo, które znaczy zarazem „niewolnica". Niech się kobiety poniżają, jeśli chcą!

Gotowania stanowczo odmówiłam. Kiedy musiałam pozmywać naczynia, zawsze coś stłukłam.

— Niedobra dziewczyna — wściekała się matka, co mnie czasami szczerze radowało zamiast skłaniać do płaczu. Przecież niedobra dziewczyna to prawie chłopak!

— Kim chcesz być, gdy dorośniesz, dziewczynko?

— Drwalem w Oregonie.

Po dziś dzień przesalam wszystko co gotuję — chyba że jestem akurat szczęśliwa. Nie stałam się matką-karmicielką. Brudne naczynia całymi dniami trzymam w zlewie. Jadam przy stołach innych ludzi, ale nie zapraszam znajomych do mojego stołu, do kuchni pełnej brudnych talerzy.

Gdybym umiała całkiem przestać jeść, może zmieniłabym się w wojowniczkę, która tkwi we mnie głęboko. Wstanę — muszę wstać — i pójdę orać pole, ledwie wydam dziecko na świat.

A kiedy wyjdę za próg domu — jaki tam wezwie mnie ptak? Na jakim koniu pocwałuję w dal? Małżeństwo i macierzyństwo dodają sił kobiecie-wojownikowi. Wojowniczka nie jest dziewicą jak Joanna d'Arc. Wojowniczka robi to wszystko, co przystoi kobiecie, a potem wykonuje inne zadania, które dzięki niej także stają się zadaniami kobiet. Mój mąż nie będzie miał prawa powiedzieć: „Mogłem zostać perkusistą, ale trzeba było zadbać o żonę i dziecko; wiadomo, jak to jest." Nikt nie będzie mnie utrzymywał kosztem własnej życiowej przygody. Ale zaraz przychodzą gorzkie myśli: nikt o mnie nie dba, nikt mnie nie kocha dość mocno, aby o mnie zadbać. Sam fakt, że nikomu nie jestem ciężarem, musi mi zrekompensować smętną zawiść, jaką odczuwam na widok kobiet, które są kochane dość mocno, aby móc pozostawać na utrzymaniu mężów. Nawet tutaj Chiny krępują moje stopy podwójnym bandażem.

Gdy nowe plany urbanistyczne zmiotły z powierzchni ziemi pralnię moich rodziców, a slumsy, w których mieszkaliśmy, zamieniły w betonowy parking — stać mnie było jedynie na fantazje z gatunku strzelby i noża; nie potrafiłam zdobyć się na żaden praktyczny krok.

Baśnie nauczyły mnie bezbłędnie rozpoznawać wrogów, nawet poprzebieranych w garnitury biznesmenów i nowoczesnych amerykańskich dyrektorów. Każdy mój szef był ode mnie o dwie stopy wyższy i żadnemu nie mogłam spojrzeć prosto w oczy.

Pracowałam kiedyś w sklepie zaopatrującym artystów w farby.

— Trzeba zamówić więcej azjatyckiej żółci — polecił mi szef. — Niezły kolorek, co? Azjatycka żółć.

— Nie lubię tego określenia — zaprotestowałam bezsilnym tonem podwładnego. Szef nie zniżył się do odpowiedzi na mój bunt.

Pracowałam też w firmie urbanistycznej. Szefowie z branży budowlanej zorganizowali raz bankiet dla swoich klientów, agentów handlu nieruchomościami i notariuszy.

— Czy pan wie, że restauracja, w której ma się odbyć przyjęcie, jest pikietowana przez CORE i NAACP? — pisnęłam z oburzeniem.

— Naturalnie, że wiem — roześmiał się mój szef. — Właśnie dlatego ją wybrałem.

— Odmawiam wypisania zaproszeń — szepnęłam niepewnie.

Szef odchylił się na oparcie skórzanego fotela, wypinając ku mnie wydatny brzuch. Następnie sięgnął po stojący na biurku kalendarz i pełnym namaszczenia ruchem zakreślił datę kółeczkiem.

— Otrzyma pani wypłatę do tego dnia włącznie — powiedział. — Czek prześlemy pocztą.

Gdybym wówczas pochwyciła miecz, który mój gniew bez wątpienia wykuł w powietrzu, i zadała cios, nieskazitelna koszula zapewne zmięłaby się w paru miejscach i nabrała koloru.

Muszę zrobić porządek nie tylko z głupimi rasistami, lecz przede wszystkim z tyranami, którzy pod byle pretekstem mogą pozbawić moją rodzinę jedzenia i pracy. Mam też zadanie do spełnienia w mojej prawdziwej ojczyźnie.

Aby pomścić rodzinę, musiałabym przelecieć jak burza przez całe Chiny i odebrać naszą farmę komunistom. Musiałabym potem jak tornado runąć na Stany Zjednoczone, żeby odzyskać pralnię w Nowym Jorku, i tamtą drugą, w Kalifornii. Jeszcze nikomu nie udało się podbić i zjednoczyć Ameryki Północnej i Azji. Jako potomkini osiemdziesięciu mistrzów walki na kije powinnam śmiało ruszyć do boju ulicą, na której mieszkam — i to już dziś, w tej chwili. Trzeba działać; trzeba iść. Osiemdziesięciu niewidzialnych mistrzów walki na kije z pewnością poszłoby za mną; wskazywaliby mi drogę i broniliby mnie w potrzebie, jak na przodków przystało.

A może moi przodkowie odpoczywają w pokoju w Chinach, może ich duchy rozproszyły się wśród prawdziwych Chińczyków i wcale nie ponaglają mnie dźganiem kijów? Nie powinnam mieć wyrzutów sumienia, że nie spisałam się tak dzielnie jak wojowniczka z legendy; w końcu po mnie nie przyleciał żaden ptak, nie wychowali mnie uczeni staruszkowie, nie mam magicznych korali, nie mogę oglądać świata na dnie bukłaka z wodą, i nigdzie nie znajdzie się królik, który by dobrowolnie wskoczył do ogniska, gdy będę głodna. A wojska nie lubię.

Szukałam swojego ptaka. Widywałam chmury o spiczasych, anielskich skrzydłach, ale rozwiewały się — były tylko chmurami. Kiedyś na plaży, po długiej jeździe autostopem, zobaczyłam mewę, maleńką jak owad. Gdy jednak zerwałam się na nogi, żeby opowiedzieć o tym cudzie kolegom, nim wydobyłam z siebie pierwsze słowo — pojęłam, że ptak jest wielkości owada jedynie dlatego, że znajduje się bardzo daleko. Blask oświecenia zgasł w jednej chwili. Tak bardzo chciałam znaleźć niezwykłego ptaka!

Z Chin docierały do nas niepokojące wieści. One też miały coś wspólnego z ptakami. Miałam dziewięć lat, kiedy moi rodzice, którzy normalnie są twardzi jak skała, płakali nad listami z domu. Ojciec krzyczał przez sen. Matka płakała i mięła listy w garści. Potem, kartka po kartce, paliła je w popielniczce, ale niemal codziennie przychodziły nowe. Tylko jeden rodzaj listów otwierało się bez obawy: te z czerwonymi obwódkami — życzenia świąteczne, które nie mogą zawierać złych wiadomości. W innych listach krewni donosili, że wujom kazano podczas rozpraw sądowych klęczeć na tłuczonym szkle i przyznawać, że są kułakami. Wszyscy zostali straceni, a

ciotka, której powykręcano kciuki ze stawów, popełniła samobójstwo przez utopienie. O innych ciotkach, teściowych i kuzynach wszelki słuch zaginął. Po pewnym czasie zaczęli jednak znów do nas pisywać — z komun, do których przydzieliły ich władze, albo z Hongkongu. Wszyscy prosili o pieniądze. Członkom komun przysługiwały tygodniowo cztery uncje tłuszczu i filiżanka oleju, a pracować musieli od czwartej rano do dziewiątej wieczorem — tak nam pisali. Nauczono ich tańczyć i powiewać czerwonymi chustami; nauczono ich skandować nic nie znaczące sylaby, starym kobietom komuniści wręczali siekiery mówiąc: „Idź, zabij się. Jesteś niepotrzebna." Krewni pisali nam w listach, że gdybyśmy my, Chińczycy zza oceanu, przesłali pieniądze do komunistycznego banku, oni sami mogliby chyba z tych sum otrzymać jakiś procent. Ciotki z Hongkongu alarmowały, żeby im przysłać pieniądze jak najszybciej, ponieważ ich dzieci żebrzą na ulicach, a źli ludzie wrzucają im paskudztwa do żebraczych misek.

Czasem śni mi się, że jestem telegrafem bez drutu i że nad nocnym oceanem między Ameryką a Chinami unosi się list w niebieskiej lotniczej kopercie. Wiem, że ten list musi dotrzeć do miejsca przeznaczenia, bo inaczej babka i ja nigdy się nie odnajdziemy.

Czy rodzice wysłali krewnym pieniądze, czy też nie — zawsze byli niezadowoleni. Czasem złościli się na braci i siostry, że ich proszą o pomoc. A tamci, nie dość że prosili, to jeszcze w długich listach opowiadali wyłącznie o swoich kłopotach. Czwartej Ciotce i Czwartemu Wujowi rewolucjoniści zarekwirowali sklep, dom i ziemię. Napadli na dom, zamordowali dziadka i starszą córkę wujostwa. Babka uciekła z resztą pieniędzy i nie wróciła z pomocą. Czwarta Ciotka zabrała synów, każdego pod jedną pachę, i schowała się w chlewie, gdzie przespała noc w samej bieliźnie. Nazajutrz odnalazła swego męża, któremu również cudem udało się uciec. We dwójkę zbierali chrust i słodkie ziemniaki na sprzedaż, a ich dzieci żebrały po ulicach, każdego ranka, ciotka i wuj wiązali sobie nawzajem na plecach naręcza chrustu. Nikt go od nich nie kupował. Żywili się słodkimi ziemniakami i resztkami ryżu, który wyżebrały dzieci. W końcu Czwarta Ciotka odgadła przyczynę niepowodzeń w handlu:

— Powinniśmy wołać: „Chrust na sprzedaż! Ziemniaki na sprzedaż!" — olśniło ją. — Nie wystarczy wałęsać się bez słowa po ulicy.

— Masz słuszność — przyznał wuj, ale jako osobnik wstydliwy kroczył zawsze od tej chwili za plecami ciotki.

— Wołaj głośno! — nagliła ciotka, ale wuj nie potrafił.

— Wszyscy myślą, że niesiemy ten chrust na opał do swojego domu — perswadowała ciotka. — Krzycz głośno.

Aż do zachodu słońca dreptali bezradnie w milczeniu, ponieważ żadne nie umiało się zareklamować. Czwarta Ciotka, od dziesiątego roku życia sierota, była tak samo porywcza jak moja matka. Cisnęła swój chrust wujowi pod nogi i jęła lamentować:

— Poumierają z głodu! Jego żona i dzieci poumierają z głodu, a on się dalej będzie wstydził wołać na ulicy!

Zostawiła go samego. Bał się wracać do domu z pustymi rękami. Przysiadł pod drzewem, żeby się zastanowić, co począć, i ujrzał parę gołębi siedzących na gnieździe, porzucił worki z ziemniakami, wdrapał się na drzewo i schwytał ptaki. Tam właśnie dopadli go komuniści; na tym drzewie. Zganili egoizm człowieka, który myśli tylko o wyżywieniu własnej rodziny, po czym zabili go, a ciało, dla przykładu, zostawili na drzewie. Ptaki zaś zabrali do wspólnej kuchni, gdzie miały zostać równo rozdzielone między wszystkich.

Trudno mi pojąć, dlaczego nasza rodzina nie maszerowała w szeregach ubogiej awangardy narodu. Członkowie mojej rodziny ginęli w egzekucjach niczym legendarni baronowie, chociaż wcale nie byli baronami. Trudno mi pojąć, dlaczego ptaki ściągnęły na nas nieszczęście.

Bywałam świadkiem walk i morderstw, ale nigdy wzniosłych, tylko zawsze ponurych i wulgarnych. Sama najwięcej się biłam w młodszych klasach szkoły podstawowej, i zawsze płakałam. Bijatyka ma to do siebie, że czasem nie wiadomo, kto wygrał. Ciała zabitych, które zdarzyło mi się oglądać, były zawsze brudne i skulone; żałosne, zaświnione trupki, zarzucone policyjnymi kocami w kolorze khaki. Matka zamykała nas, dzieci, na klucz w domu, żebyśmy nie patrzyły na zwłoki ludzi ze slumsów. Lecz ja na każdą wieść o nowym nieboszczyku umiałam znaleźć wyjście z domu; musiałam dowiedzieć się wszystkiego o umieraniu, skoro miałam zostać wojowniczką. Kiedyś w sąsiedztwie zadźgali Azjatę; do jego ciała mordercy przypięli

na kawałku szmaty jakiś napis. Gdy policja przybyła, aby przeprowadzić śledztwo, mój ojciec powiedział:

— Nie czytać japoński. Słowo japoński, ja chiński.

Szukałam także starych ludzi, którzy mogliby zostać moimi guru. Rudowłose medium powiedziało mi, że pewna dziewczyna, która zmarła dawno temu w odległym kraju, nie odstępuje mnie ani na krok. Duch tej dziewczyny może mi pomagać, jeżeli świadomie uznam jego obecność. Rudowłose medium płci żeńskiej powiedziało mi także, że mam krzyżyk mistyczny na prawej dłoni, między linią głowy a linią serca. To znaczy że sama mogłabym stać się medium. Ani mi się śni odgrywać rolę „świra", zbierającego do koszyczka ofiary od przerażonej publiki, którą interesuje, co duchy mają do powiedzenia w sprawie podwyżki czynszu, leczenia chorób gardła i skóry albo znalezienia posady. A sztuki walki są w sam raz dla zakompleksionych chłopaczków, którzy lubią wymierzać sobie kopniaki w świetle jarzeniówek.

Moimi sąsiadami są teraz Chińczycy i Japończycy, ale nie ma wśród nich emigrantów z mojej rodzinnej wsi i nikt nie patrzy na mnie tak, jakbym mu wyrządziła osobisty zawód. Porządnemu Chińczykowi życie wśród emigrantów z własnej wsi przynosi chwałę i zapewnia należytą pozycję społeczną, choć z dala od Chin.

— Ten stary kierowca autobusu jest w istocie wojownikiem — szepczą ludzie za przechodzącym ulicą mężczyzną. — To mistrz miecza, który zgładził pięćdziesięciu przeciwników. W domu, w schowku, trzyma rozszczepiony topór.

A ja jestem jeszcze jedną niepotrzebną dziewczyną, której nie udało się sprzedać. Teraz, ilekroć idę z wizytą do rodziny, owijam się swoim amerykańskim sukcesem jak szalem; jednak zasłużyłam na to, żeby mnie karmić. Dopóki jestem daleko, potrafię wierzyć, że rodzina w gruncie rzeczy mnie kocha. Mówią co prawda: „Kiedy wyławiasz z powodzi cenne przedmioty, uważaj, żeby przypadkiem nie wyłowić dziewczynki" — ale mówiąc tak, tylko cytują stare porzekadło o córkach. Dawniej traktowałam serio podobne słowa padające z ust mojej matki i ojca. Dawniej uważnie oglądałam szkic tuszem, na którym biedacy w czasie powodzi chciwie łowią długimi bosakami przedmioty należące do sąsiada, a dziewczynki spychają w nurt rzeki. Musiałam się jednak kiedyś wyrwać z kręgu nienawiści.

W podręczniku antropologii znalazłam chińskie porzekadło: „Dziewczynki też są potrzebne" — jednak nigdy żaden ze znanych mi Chińczyków nie wypowiedział go na głos. Może tak mówią w jakiejś innej wsi. Zaprzestałam wstydliwych wypadów do naszej chińskiej dzielnicy, która mnie dręczy dawnymi powiedzonkami i legendami.

Wbrew pozorom, wojowniczka z legendy i ja niewiele się różniły. Oby moi bliscy dostrzegli nasze podobieństwo jak najprędzej — wówczas będę mogła do nich wrócić. Wojowniczkę i mnie łączą słowa wyryte na plecach. Po chińsku „pomścić" to „ujawnić zbrodnię" i „powiadomić pięć rodzin". A więc zemsta to publiczne rozgłoszenie złego czynu — nie ścięcie głowy winowajcy, nie wybebeszenie go, tylko słowa. A ja mam w sobie tyle słów, słów brudnych, słów cuchnących, że nie mieszczą się na mojej skórze.